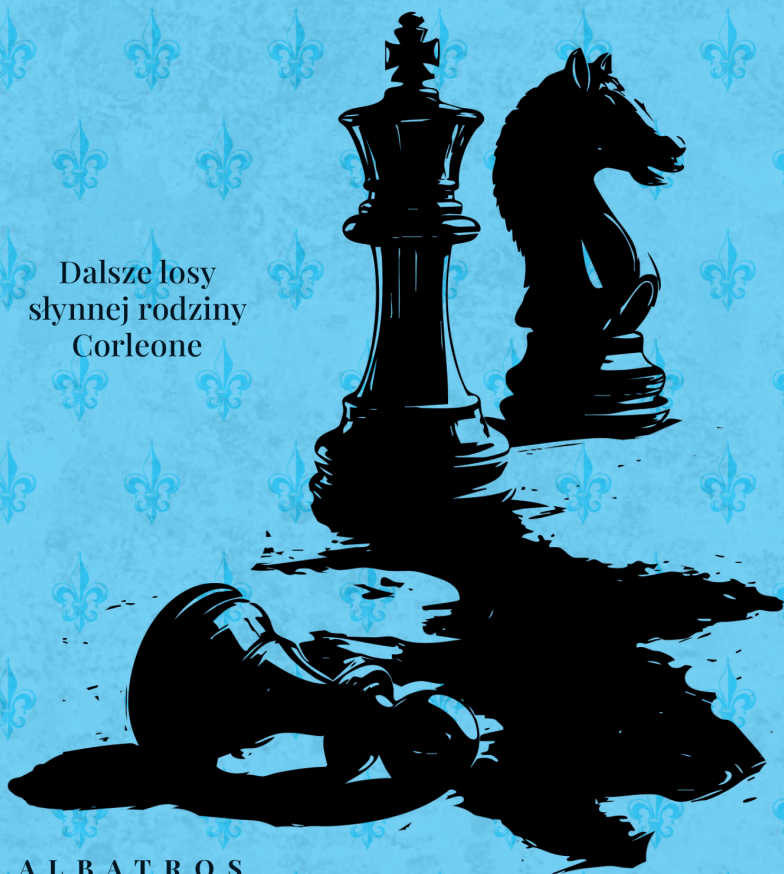


Zemsta Ojca Chrzestnego

MARIO PUZO
MARK WINEGARDNER

Dalsze losy
słynnej rodziny
Corleone



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE GODFATHER'S REVENGE

Copyright © The Estate of Mario Puzo 2006
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Anna Amsterdamska 2008
All rights reserved

Redakcja: Beata Słama
Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka
Ilustracje na okładce i we wnętrzu: Magnific

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**



Prolog

Fredo Corleone, który od dawna już nie żył, stał teraz przed swoim bratem Michaeliem na środku brukowanej kocimi łbami uliczki w Hell's Kitchen, gdzie spędzili dzieciństwo.

Był w smokingu, ale na głowie miał stary wymięty kapełusz rybacki. W rękę trzymał wędkę, a na jego ramieniu wspierała się naga kobieta. Zmierzchało. Fredo wyglądał tak, jakby śmiał się i płakał równocześnie, co było wzruszająco znajome. Słysząc było turkot niewidocznego jeszcze pociągu towarowego przecinającego Jedenastą Aleję, choć tory już dawno rozmontowano.

– Wybaczam ci – powiedział Fredo.

Z rany na jego potylicy zaczęła płynąć krew.

Michael Corleone nie wiedział, co takiego widzi, ale był pewny, że to nie sen. Z pewnością nie wierzył w duchy.

– To niemożliwe – powiedział.

– Faktycznie – ze śmiechem przyznał Fredo. – Tylko Bóg mógłby sprawić coś takiego, prawda?

Michael, który stał przed wejściem do ich kamienicy, poczuł się tak, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Oprócz nich na ulicy nie było nikogo. Kobieta o pełnych kształtach, młecznej skórze i kruczoczarnych włosach wydawała się nieco zakłopotana swą nagością w miejscu publicznym, ale dzielnie radziła sobie z tą sytuacją. Najwyraźniej należała do ludzi, którzy niewiele przejmują się, co sobie inni pomyślą.

– Tak, tylko Bóg – zgodził się Michael.

– Chcesz iść na ryby? – spytał Fredo, z uśmiechem podając mu wędkę. – A możesz chcesz się pieprzyć?

Kobieta zrobiła krok naprzód. Gdy przesuwiała się w przyćmionym świetle, zmieniała się w rozkładającego się trupa, po czym znowu w ideał kobiecej urody ze snów Michaela.

– Daj mi znać, dobra? – powiedział Fredo. – Wbrew temu, co myślisz, potrafię wszystko załatwić. Wiem, że czujesz się samotny. Jesteś zupełnie sam. Jeśli nie masz ochoty ani na ryby, ani na nią, wybierz, co chcesz. Chcę ci pomóc, Mike. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Szczęśliwy? – prychnął Michael. – To raczej dziecinny pomysł, nie sądzisz, Fredo?

Michael od razu pożałował, że to powiedział, ale brat się nie obraził.

Kobieta pocałowała Freda, który oddał pocałunek. Na wędkę nagle zadyndał tuńczyk, niemal tak wielki jak Fredo. Ryba szarpała się gwałtownie na haku. Nagle zaczęła krwawić, jakby ktoś przebił ją harpunem. Kobieta spojrzała na nią i rozplakała się.

– Jedno wciąż nie jest dla mnie jasne – powiedział Fredo do brata. – Dlaczego musiałem umrzeć?

Michael westchnął ciężko. Fredo nigdy się nie zmieni. Nawet po śmierci chce, aby wyjaśniać mu rzeczy, które powinny być dla niego instynktownie oczywiste.

– Rozumiem, chodziło o zemstę i tak dalej, ale to, co mnie spotkało, nie było proporcjonalne do moich przewin. To zupełnie bez sensu. To wcale nie było oko za oko, Mike.

– Fredo – szepnął Michael, ze smutkiem kręcąc głową.

– Nie twierdzę, że nie spierdoliłem kilku spraw. Tak było – przyznał. Wciąż krwawił, ale teraz już nieco mniej. – Chodzi o tych facetów, którym nagadałem, Rotha, Ola i resztę, tak? Powiedziałem im kilka rzeczy, nie wiedząc, jak wykorzystają te informacje, ale szczerze mówiąc, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Wiadomość, kiedy będziesz w domu? Chryste. Do twojego domu w Tahoe prowadziła

tylko jedna droga. Każdy cholerny *babbuino* mógłby łatwo stwierdzić, kiedy jesteś w domu. Dlaczego więc to ja byłem winny, że próbowali cię zabić? Jeśli chodzi o inne rzeczy, które im powiedziałem, że mogłyby doprowadzić do pokoju, rozumiem, nie powinienem w tych sprawach zwracać się przeciw rodzinie. Jednak tak naprawdę wszystko, co się stało, stałoby się i tak, niezależnie od tego, co im powiedziałem. Tak? Wiesz, że mam rację. Nic, co powiedziałem, nie zaszkodziło organizacji, nie osłabiło jej. A co ze wszystkimi spoza rodziny, którzy wiedzieli, co zrobiłem? Nie żyją. Załatwiłeś ich, co do jednego. Jedyni żyjący ludzie, którzy wiedzą o tym, to ty sam, Hagen i Neri – a ty zawsze powtarzasz, że tym dwóm powierzyłyś własne życie. Więc nie ma problemu, tak?

– Jest jeszcze Nick Geraci. – Na jawie Michael nigdy nie wypowiedziałby głośno nazwiska zdrajcy, który znikł.

Fredo uderzył się otwartą dłonią w czoło, rozpryskując krew na wszystkie strony.

– Tak! Zawsze myślę o nim jak o trupie, ale masz rację.

– Pomszczę twoją śmierć. Masz moje słowo.

– To śmieszne. – Fredo wskazał palcem ranę w głowie. – Al naciśnął cyngiel. Ty wydałeś rozkaz. Kazałeś również zabić Nicka. Chciałeś go poświęcić, jak gońca lub skoczka w szachach, żeby ukryć, co się stało naprawdę. Tylko w szachach zbity goniec nie ma szans, żeby wrócić na szachownicę, zmienić kolor i zaatakować ciebie. Musiałeś go zatem zabić. Miałeś wybór?

Rana wreszcie przestała krwawić, ale Fredo był cały ubrudzony krwią. Szepnął coś do nagiej kobiety. Kiwnęła głową, ale nadal płakała.

– Kiedy to zrobiłeś – Fredo znów zwrócił się do brata – żaden z nas nie miał pojęcia, że to Nick za tym stoi. Byłeś pewny, że zabiłeś już wszystkich, którzy wiedzieli, co zrobiłem. Chcę teraz zapytać – ciągnął – kto twoim zdaniem miałby ci za złe, gdybyś mnie nie zabił. Kto uznałby cię za mięczaka zdolnego do litości? Wymień jedną osobę.

– Fredo, ja...

– Nie jestem na ciebie zły, Mike. Wcale nie. O tym, co się ze mną stało, zdecydowało przeznaczenie, jak to ojciec lubił mawiać. Z drugiej strony – wybaczyć, że to mówię – trudno mi sobie wyobrazić, żeby ojciec, w takich samych okolicznościach, kazał mnie zabić. Słuchaj, chcę tylko zrozumieć, co dzieje się w twojej głowie. Wiem, co jest w twoim sercu, OK? Serce to prosta sprawa. Natomiast muszę przyznać, że to, co kręci się w twojej głowie, jest dla mnie tajemnicą.

Hagen, pomyślał Michael.

Michael z bolesną jasnością zdał sobie sprawę, że gdyby nie Tom Hagen, jego *consigliere*, nie zdobyłby się na tę decyzję. To on miałby o to do niego pretensje. Hagen, który równocześnie był i nie był jego bratem, należał i nie należał do rodziny. Nawet nie był Włochem, a zatem, ściśle mówiąc, nie powinien był nawet niczego wiedzieć. W rzeczywistości wiedział wszystko. Tom Hagen był jego łącznikiem ze starym. To za jego pośrednictwem kontaktowali się w latach młodzieńczego buntu Michaela przeciw ojcu i wszystkiemu, co reprezentował. Zadaniem Toma było udzielanie Michaelowi rad, gdy ten o nie prosił, rozwiązywanie trudnych problemów, gdy on wysyłał go w tym celu. Robił to bardzo zręcznie, okazując wielkie posłuszeństwo. Jednak do tej pory Michaelowi nigdy nie przyszło do głowy, że najbardziej boi się jego dezaprobaty, gorąco pragnie udowodnić, iż przewyższa go inteligencją, i że koniecznie chce okazać bezwzględność, nawet jeśli to było sprzeczne z jego naturą. Jego krwią. Po tym, jak po raz ostatni uściskał brata, co Fredo zrobił? Włożył swój szczęśliwy wędkarski kapeluszyk i zabrał syna Michaela, Anthony'ego, żeby nauczyć go łowienia ryb. A co zrobił Michael? Poszedł prosto do swojego gabinetu. Owszem, żeby pracować, ale również żeby wsiąść na Toma z powodu jego rzekomej nielojalności, co było zupełną bzdurą, oraz jego kochanki, choć ten związek nie miał żadnego znaczenia. Chodziło mu tylko o to, żeby zepchnąć go do defensywy. Po co? Po to, żeby Tom nie mógł zakwestionować jego decyzji w sprawie Hymana Rotha? Nie. Chodziło o to długie

spojrzenie, jakim Tom obrzucił Freda i Anthony'ego, gdy wszedł do pokoju. Michael bał się jego krytyki.

Uświadomienie sobie tego wstrząsnęło Michaelem, ale nie mógł się zmusić, żeby odpowiedzieć na pytanie zakrwawionego brata.

– Nie, to ty mi coś wytłumacz, Fredo, skoro to takie oczywiste. Co kryje się w moim sercu?

– Och, stary! – westchnął Fredo. Naga kobieta odsunęła się od niego i skłoniła głowę. Teraz była wyraźnie zakłopotana. – To właśnie sedno twojego problemu, Michael. Nie znasz własnego serca.

Michael skrzyżował ramiona. Chciał objąć brata i powiedzieć mu, że ma rację we wszystkim. Nie potrafił się jednak na to zdobyć.

– Skończyłeś już, Fredo? Mam sprawę do załatwienia.

Michael usiłował sobie przypomnieć, co to za sprawa. Na pewno chodziło o jakiś cudzy problem. Wyleciały mu z głowy wszystkie szczegółowe informacje o sprawach, którymi się dziś zajmował. Nagle pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział nic tak pięknego, jak plecy tej czarnowłosej kobiety. Wyobraził sobie, jak przeciąga językiem wzdłuż jej szerokich, wspaniale ukształtowanych bioder. Zadrżał. Zmusił się do odwrócenia oczu. Znowu usłyszał turkot pociągu towarowego. Lokomotywa ciągnęła wagony wyładowane bezimiennymi zwłokami.

– Chciałem cię ostrzec! – Fredo spróbował przekrzyczeć hałas. – Ale po co? Przecież nie będziesz mnie słuchał, nieprawdaż? Ostrzeżenie ode mnie to chyba żart. Twoim zdaniem to musi być jakiś nonsens. Nawet byś o tym dwa razy nie pomyślał. Mogę się założyć, że o mnie też dwa razy nie pomyślałeś.

Fredo bardzo się mylił: Michael myślał o nim stale. Michael źle ocenił wtedy Freda. Zmienił w zdrajców również innych sojuszników. Sally'ego Tessia, Nicka Geraciego i jeszcze kilku. Fredo nie był jedynym, a prawdopodobnie był najmniej wartościowy, ale to myśli o nim najczęściej prześladowały Michaela.

– Już za życia byłeś dla mnie martwy – powiedział i przeraził się, słysząc swoje słowa. – Myślisz, że śmierć cokolwiek wtedy zmienia? Nic się nie zmieniło. Odejdź, Fredo.

Michael wcale tak nie myślał.

Chciał wysłuchać ostrzeżenia, naprawdę chciał, choć nie oczekiwał żadnej niespodzianki. Była sprawa rodziny Bocchicchio, niemal wymarłego rodu mającego obsesję na punkcie zemsty, jednak nie obciążali oni rodziny Corleone odpowiedzialnością za śmierć ich kuzyna Carmine Marino. Musiał również pamiętać o Nicku Geracim, byłym *capo* Corleone, który zawiązał spisek z nieżyjącymi już donami z Cleveland i Chicago, żeby nakłonić Michaela do zabicia jego przyjaciela Hymana Rotha i – z czystej złości – Freda. Geraci uniknął zemsty Michaela i gdzieś się ukrył. No i był jeszcze prezydent Stanów Zjednoczonych, który zawdzięczał Michaelowi zwycięstwo w wyborach, ale teraz najwyraźniej zwrócił się przeciw swemu protektorowi.

Michael mógłby jeszcze długo wyliczać podobne zagrożenia. Miał talent do przewidywania niebezpieczeństw. Nie miało dla niego znaczenia to, co Fredo chciał powiedzieć, ponieważ nie miał wątpliwości, że dla niego nie będzie to nic nowego. Liczyło się tylko to, że Fredo chciał go ostrzec.

Pociąg już znikł, podobnie jak tuńczyk i naga kobieta, która niekiedy zamieniała się w zwłoki. Fredo odwrócił się i zaczął odchodzić. Czerwona plama krwi we włosach zasłaniała ranę z tyłu głowy.

To, co przydarzyło się Michaelowi, mogło mieć całkowicie logiczne wyjaśnienie. Być może były to halucynacje wywołane cukrzycą. Mógł umrzeć, ale bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ktoś go znajdzie, pomoże mu, poda pomarańczę, da pigułkę lub zrobi zastrzyk z insuliny.

Zawołał na brata, żeby nie odchodził. Fredo zatrzymał się i spojrział na niego.

– Czego chcesz? – spytał.

Michael leżał teraz na szpitalnym łóżku na kółkach. Sanitariusze wieźli go do izby przyjęć. Al Neri – który wpakował Fredowi w portylicę dwa pociski kalibru .38, działając na polecenie Michaela i nie napotykać próby oporu – krążył w pobliżu i krzyczał coś o cukrze do ludzi, których Michael nie widział, ale wyczuwał ich obecność.

W jego polu widzenia pojawiała się jakaś kobieta ubrana w jego własny szlafrok: aktorka Marguerite Duvall. Rita. Łkała. Z ufarbowanymi na rudo włosami wyglądała, jakby oszalała. Między połami rozchełstanego szlafrocka widać był ciemną aureolę sutka, niemal tak dużą, jak jej niewielka pierś. Przed laty, gdy Rita była zwykłą tancerką w Las Vegas, związała się z Fredem. To było zanim jeszcze John Fontane pomógł jej stać się gwiazdą, jeszcze przed krótkim romansem z Jimmym Sheą. Fredo nawet ją zapłodnił. Michael wiedział o tym, a Rita bez wątpienia wiedziała, że on wiedział, ale nigdy o tym nie rozmawiali. Michael nie był samotny. Nawet tu, w tym budynku, byli przyjaciele i krewni, których do siebie przyciągnął. No i była ta kobieta, Rita. Michael spróbował wyciągnąć do niej rękę. Uśmiechnęła się do niego przez łzy i wymamrotała coś po francusku. Potem Al Neri powiedział jej, żeby się odsunęła, złapał ją za łokieć i odciągnął od Michaela.

– Czego chcesz? – powtórzył Fredo. – Powoli tracę cierpliwość, mały.

Mały. Fredo nigdy go tak nie nazywał. Tak mówił tylko Sonny.

Michael zacisnął powieki i zmusił się do chłodnego rozumowania.

Poczuł ukłucie igły i otworzył oczy. Jechał teraz przez korytarz, a kółka łóżka piszczały i zgrzytały. Rita poklepała go po ramieniu i znikła. W jakiś sposób jednocześnie widział, jak przesuwa się nad nim sufit mieszkania, i Freda stojącego w ciemnej ulicy w smokingu i dłubiącego w ranie zakrwawioną wykałaczką.

– Ogłuchłeś? – rzucił Fredo. – Odpowiadaj.

Michael czuł się tak, jakby przeżywał równoległe dwa życia, oba równie realne.

– Poczekaj, Fredo – wymamrotał. – Tego chcę. Chcę, żebyś został.

– *Madonn'* – rozżłościł się Fredo i cofnął o krok. – Nie, Mike. Pytam, czego ty chcesz?

– Niczego, co mogę mieć.

Fredo zaśmiał się bez krztyny wesołości.

– I ty mówisz, że to ja jestem martwy – powiedział. – Musisz się wiele nauczyć, mały. Ucałuj ode mnie Ritę i dziecko. – Fredo odwrócił się do niego plecami. W czarnym smokingu i eleganckich butach ruszył w kierunku torów kolejowych. Teraz Michael spadał w przestrzeni, jak w urwanej windzie.

Ritę i dziecko? Rita nie ma dziecka.

Michael odwrócił głowę, usiłując raz jeszcze spojrzeć na brata. Z tej odległości Fredo wyglądał tak, jakby ktoś odstrzelił mu głowę. Chwilę później znikł.



KSIĘGA I



Rozdział 1

Trzy czarne chevy biscayne'y pędziły jeden za drugim w kierunku Nowego Orleanu autostradą nr 61, tą królową amerykańskich autostrad. W każdym jechali dwaj uzbrojeni mężczyźni. Mocno zaciskali szczęki i mrużyli oczy, bo raziło ich słońce. Autostrada przecinała serce kraju, wykarmione zbożem i kukurydzą. Wzdłuż drogi leżały miejscowości, w których boży ludzie grzeszyli przeciw boskim przykazaniom i umierali za grzechy. Na skrzyżowaniach dróg można było kupić geniusz za okazjną cenę jednej duszy. W zapylonych osadach i przy polnych drogach wychowywały się społecznie nieprzystosowane dzieci sklepikarzy, byłych niewolników i niedocenionych nauczycieli, które uznały za stosowne przyjąć pseudonimy – Buddy, Fats, Jelly Roll, T.S. i Satchmo. Bix, Pretty Boy, Tennessee, Kingfish i Lightnin'. Muddy, Dizzy i Bo. Son, Sonny i Sonny Boy. B.B., Longhair, Yogi, Gorgeus i Dylan. Tak ukryci, ruszali tą drogą w świat, żeby wszyscy usłyszeli dziwny, prawdziwy głos Ameryki. Przynajmniej jeden skromny kierowca ciężarówki jechał tą szosą, żeby – zgodnie z nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu – zostać królem. Przynajmniej jedna prostytutka jechała tędy, żeby zostać królową. Oboje zmarli w młodym wieku, jak wszyscy królowie i królowe szosy nr 61. On na poślaczonym tronie, ona na szosie, gdy jej krew wsiąkała w ubranie. Wzdłuż tej drogi rodziła się i umierała idea amerykańskiego narodu. I jeszcze raz. I znowu.

Był rok 1963. Niedziela. Jak na styczeń było niezwykle gorąco. Mężczyźni w czarnych biscayne'ach jechali z opuszczonymi szybami.

Nie pocili się i nie wydawali się zdenerwowani. Na horyzoncie widać już było wieżowce Nowego Orleanu. Zaczęło obowiązywać ograniczenie prędkości i kierowcy nieco zwolnili.

Przed nimi, po lewej stronie drogi, kilka kilometrów przed końcem autostrady, znajdował się Pelican Motor Lodge, gdzie mieściło się biuro Carla Tramontiego. Nikt, kto nie znał dobrze Nowego Orleanu, nie mógłby zgadnąć, że restauracja U Nicastro (zamknięta w niedziele) w sąsiednim, niepozornym budynku z pustaków to miejsce, gdzie podają najlepsze włoskie dania w całym mieście. Najlepsze, jakie można dostać za pieniądze.

Bezwzględnie najlepsze włoskie potrawy można było zjeść w każdej niedzielę kilka przecznic dalej, w domu Tramontiego, podobnym do siedziby plantatora. To tam młody, utalentowany główny kucharz z U Nicastro – podobnie jak niemal wszyscy krewni i powinowaci gospodarza – popijał czerwone wino i odpoczywał w cieniu wielkiego dębu, który zasłaniał dom od strony ulicy. Piękny biały dom Tramontiego wielkością pasował do otoczenia. Z tylnego dziedzińca widać było magnolie w parku jednego z najlepszych i najbardziej ekskluzywnych klubów w Nowym Orleanie. Tramonti był pierwszym Włochem, którego przyjęto do klubu, a jego kandydaturę zgłosił sam gubernator stanu.

Po podwórku kręciły się dzieci w różnym wieku.

Mężczyźni grali w *bocce* i żartowali, wzajemnie sobie docinając. Jak zwykle, Agostino Tramonti – najinteligentniejszy i najniższy z pięciu młodszych braci Carla – ucierpiał najbardziej. Miał talent do różnych gier i sportu, ale traktował takie rozrywki zbyt poważnie.

Wszyscy słyszeli ostre rozkazy wydawane po włosku przez Gaetanę Tramonti, które dochodziły z wnętrza domu wraz z zapachem pieczonych kurcząt, kielbas z rusztu i różnych sosów. Jej zięć, szef kuchni U Nicastro, mógł tylko imitować ich smak, ale nigdy nie osiągnął doskonałości. Gaetana była korpulentną matroną z Neapolu, od czterdziestu jeden lat żoną Carla. Teraz rządziła całą armią córek i synowych, których irytację i zniecierpliwienie wszyscy tu uważali za dowód miłości.

Carlo Tramonti spacerował wśród gości, podpierając się laską. Całował wnuki, głaskał ich główki, targając włosy, wysłuchiwał opowieści bratanków, siostrzeńców i kuzynów, którzy skarżyli się na różne problemy. Wyglądał jak wielki armator śródziemnomorski, ze spaloną słońcem twarzą, nienagannie przystrzyżonymi siwymi włosami, w dwurzędowej marynarce i wygodnych pantoflach włożonych na bose stopy. Miał niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, ale w tym towarzystwie był najwyższy. Nosił ogromne okulary przeciwsłoneczne. Nie zawsze wyglądał tak arystokratycznie. Carlo zaczynał jako pomocnik na kutrze do połowu krewetek i bukmacher, ale szybko piął się w górę. W tym czasie podziemnym światem Nowego Orleanu rządziły dwie wojujące rodziny wywodzące się z tego samego miasteczka na zachodnim brzegu Sycylii, mające do siebie pretensje o sprawy sprzed ponad stu lat. Tramonti wynegocjował pokój i zjednoczył tych, którzy przeżyli te negocjacje, zakładając nowy klan. Rządził nim już od ponad trzydziestu lat. Żadna inna rodzina nie mogła się pochwalić lepszą polityczną ochroną i takim monopolem władzy na swoim terytorium. Tramonti uciekał się do przemocy rzadziej niż szefowie innych rodzin. Ludzie odnosili się do niego jak pobożni wyznawcy do swego boga: podporządkowywali się jego potędze i deklarowali miłość. Dla większości mieszkańców Nowego Orleanu i Luizjany był on wielkim czarnym wężem żyjącym spokojnie pod domem, żywiącym się piżmowcami, małymi grzechotnikami i szczurami.

Carlo w końcu przyłączył się do gry w *bocce*. Poruszał się płynnie i z wdziękiem. Jego obecność wywarła uspokajający wpływ na brata. Augie Tramonti stanowił pomniejszoną kopię Carla – taka sama fryzura, taka sama opalenizna, takie samo szyte na miarę ubranie od tego samego krawca – ale sprawiał wrażenie, że przy każdym kroku podskakuje, jakby wciąż musiał dowodzić, kim jest.

Na długich stołach ustawionych na tarasie pojawiły się dania z klusek i spaghetti. Kobiety zawołały mężczyzn i dzieci, żeby przyszli jeść.

Trudno byłoby przesadnie opisać rolę, jaką odgrywały dobre jedzenie i wielkie rodzinne posiłki w większości włoskich rodzin,

zwłaszcza w Nowym Orleanie – najstarszej włoskiej społeczności w Nowym Świecie – gdzie kiedyś burmistrz wezwał ochotniczą milicję, żeby mordowała niewinnych imigrantów z Sycylii, co spotkało się z publiczną aprobatą prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mimo to włoskie dzieło, *muffaletta*, było tu prawdziwą hostią. Tramonti stanowili rodzinę, prawdziwą rodzinę z Nowego Orleanu, a takie niedzielne obiady podtrzymywały jej spójność. Nikt spoza rodziny nie mógłby zrozumieć, jak mogą uważać wspaniałe jedzenie na stole za coś oczywistego, a równocześnie wysoko je cenić. Carlo Tramonti wzniosł jak zawsze ten sam serdeczny i ciepły toast: *La famiglia*.

Wszyscy powtórzyli „za rodzinę” i unieśli kieliszki.

– *Mangiamo!* – krzyknęła Gaetana. Wszyscy Tramonti odstawili kieliszki.

W tym momencie na trawniku pojawili się mężczyźni z czarnych samochodów, z wyciągniętymi pistoletami.

Kobiety i dzieci krzyczały ze strachu.

Carlo Tramonti zerwał się z krzesła, ale nie próbował uciekać. Złapał nóż stołowy, co było absurdalnym gestem. To nie mogli być policjanci – tych miał w kieszeni. Carlo zbladł. Spojrzał na talerz ze *spaghetti puttanesca*, znakomitym dziełem jego żony. Nie spodziewał się, że spotka go w życiu coś takiego, na oczach całej rodziny, w niedzielne popołudnie, gdy siadał do obiadu.

– INS! – krzyknął jeden z mężczyzn, najwyraźniej dowodzący grupą. – Imigracja!

Carlo Tramonti pochylił głowę. Najwyraźniej nie rozumiał tej sytuacji. Mieszkał w Nowym Orleanie już od niemal sześćdziesięciu lat, niemal tak długo, jak grano tu jazz. Z pewnością w oczach całej rodziny był tak amerykański jak ta muzyka. Nawet jego wnuki musiały pomyśleć, że odznaki agentów są fałszywe.

Augie Tramonti – który po śmierci zaufanego starego wuja niedawno awansował ze stanowiska szefa działu narkotyków rodziny na pozycję *consigliere* – spytał, czy może spojrzeć na odznakę. Dowódca agentów uprzejmie spełnił jego życzenie. Augie przygryzł wargę,

spojrzał na brata i wzruszył ramionami. Kto kiedykolwiek przedtem widział odznakę agenta Urzędu Imigracyjnego!

Gdyby rzeczywiście byli to agenci INS, cała sytuacja stałaby się bardziej zrozumiała, w przeciwieństwie do najazdu policji lub nawet FBI. Z pewnością nie zamierzali go zabić. To wyjaśniłoby również, jak udało im się tutaj dostać, mimo że przed domem czuwali pracownicy rodziny, a także dlaczego zdecydowali się na szturm, zamiast użyć subtelniejszych metod z repertuaru CIA.

Carlo Tramonti powoli odłożył nóż.

W rzeczywistości nigdy nie udało mu się załatwić sobie amerykańskiego obywatelstwa. Gdy był już pełnoletni i mógł sam złożyć podanie, tkwił po uszy w różnych szwindlach i kryminalnych operacjach, co mogło poważnie utrudnić ten proces. Jednak właśnie ta działalność zapewniła mu dostateczne środki, żeby nie przejmować się kwestią obywatelstwa. Cztery lata wcześniej, gdy został wezwany na przesłuchanie przed podkomisją Senatu – składając zeznania, sześćdziesiąt jeden razy odwołał się do piątej poprawki do konstytucji – nikt nawet nie poruszył tej sprawy.

Dowódca agentów spytał go, czy jest Carlosem Tramontim z Santa Rosa, Colombia. Tramonti popatrzył na niego i nie odpowiedział.

– *La Ballena* – dodał stojący obok agent. „Wieloryb” po hiszpańsku. Pozostali zachichotali.

Szef kuchni Nicastro, który przez lata słuchał, jak klienci źle wymawiają włoskie słowa, a zapewne również pod wpływem stresu, nie wytrzymał.

– *La Balena* – poprawił agenta.

Członkowie rodziny obrzucili go gniewnymi spojrzeniami. Nikt nie nazywał Carla Tramontiego jego przezwiskiem, w każdym razie nie w jego obecności.

Carlo patrzył tylko na Gaetanę. Stała przy drugim końcu stołu, jej włosy były wilgotne od potu, a po okrągłych policzkach spływały łzy.

– Chciałbym zadzwonić po mojego adwokata – powiedział.

– Jego obecność nie będzie konieczna – odrzekł dowódca agentów.

Tramonti wzruszył ramionami. Któż mógł wiedzieć, co będzie konieczne?

– Chcemy tylko zadać panu kilka pytań – dodał agent. – To drobna sprawa. Szybko skończymy.

– Drobna sprawa może chyba poczekać do poniedziałku – zauważył Tramonti.

– Niestety, nie. – Agent poprosił go, żeby wziął paszport i udał się z nimi.

– Paszport jest w biurze.

Jeden z agentów wyciągnął kajdanki.

– To nie jest konieczne – zaprotestował Carlo.

– Przykro nam, ale taka jest procedura – uparli się agenci. Skuli mu ręce i nogi w kostkach.

Carlo poprosił żonę, żeby przyniosła mu nieco gotówki. Mówił po włosku.

– To też nie będzie konieczne – zaśmiał się główny agent.

– Przynieś mi szczoteczkę do zębów – polecił Carlo żonie, nadal używając włoskiego.

– Nie – uciął agent.

Jego koledzy z wyraźną przyjemnością wyprowadzili Tramontiego, odciągając go od stołu na oczach przerażonych wnuków, nie przejmując się głośnymi protestami rodziny. Carlo spojrzał przez ramię na żonę i poprosił, żeby wszyscy wrócili do stołu i zjedli bez niego.

– Zdążymy na deser – powiedział Augie i ruszył za bratem.

Augie oznajmił agentom, że będzie czekał na nich w biurze. Kiwnął głową w kierunku młodszego brata, który prowadził kilka ich legalnych przedsiębiorstw – magazynów, parkingów, torów psich wyścigów, nocnych klubów – dzięki czemu znał odpowiednich prawników.

Gaetana poleciła rodzinie, żeby wszyscy wrócili do stołu. Mówiła równie surowym tonem jak w każdą niedzielę.

– Wasze procedury? – syknął Carlo Tramonti, gdy agenci wepchnęli go na tylne siedzenie czarnego biscayne’a. – Złośliwość i upokarzanie, to są wasze procedury.

– Obawiam się – odpowiedział główny agent – że w takich przypadkach jak pański to i tak uprzejmość.

*

Motel Pelican Motor Lodge miał postać prostokąta z białego betonu, otaczającego dziedziniec z licznymi roślinami i basenem w kształcie nerki, z którego spuszczone wodę. Dostęp do basenu ograniczał płot. Tramonti urządził swoje biuro w czterech przerobionych w tym celu pokojach w odległym kącie budynku, w znacznej mierze zasłoniętych starannie przyciętymi krzewami i drzewami.

Agenci przeprowadzili Tramontiego przez recepcję, gdzie w dni powszednie pracowała jego szwagierka Filomena – przyjmowała telefonów i sprawdzała gości.

Na mocnych drzwiach biura Carla Tramontiego nie było tabliczki z jego nazwiskiem. Zamiast tego widniał na nich epigram wyryty ozdobnymi literami na mosiężnej plakietce: „Trzy osoby mogą dochować sekretu, jeśli dwie są martwe”. Carlo dostał to na urodziny od brata Joego – znanego w Nowym Orleanie malarza, którego płótna (jazzmeni, murzyńskie pogrzeby, aligatory) cieszyły się dużym wzięciem we Francuskiej Dzielnicy. Joe wystawiał obrazy we własnej galerii. Poza malarstwem zajmował się automatami do sprzedaży i szafami grającymi.

Na wyłożonych boazerią ścianach biura wisiały oprawione po-
zółtkłe artykuły z gazet ze stroniczymi relacjami z tej *infamia*, jaką była śmierć dziadka Tramontiego z rąk gangsterów. Niemal całą powierzchnię ścian, jaka jeszcze pozostała wolna, zajmowało ponad sto starannie wybranych rodzinnych zdjęć. Błat mahoniowego biurka lśnił, a na podłodze leżała nowiutka wykładzina. Tramonti zmieniał ją co roku. W pokoju nie było ani popielniczek, ani kosza na śmieci, o czym wszyscy wiedzieli. Carlo Tramonti podobno mógł skupić

się na interesach tylko wtedy, gdy w pokoju panował pedantyczny porządek. Jego obsesja dotyczyła również koszy na śmieci, nawet pustych.

Agent dowodzący tą farsą zażądał paszportu Tramontiego.

Carlo Tramonti ciężko usiadł w skórzanym fotelu.

– Domagam się wezwania mojego adwokata – oświadczył.

W recepcji pojawił się Augie Tramonti. Dyszał ciężko. Agenci chwycili go za ramiona i obezwładnili tuż przed otwartymi drzwiami motelu. Augie „Karzeł” Tramonti, nim zajął się ważniejszymi sprawami, pełnił rolę „silnego człowieka” i był znany z sadyzmu. Gdyby martwi mogli mówić, wielu powiedziałoby, że Augie patrzył na nich z taką samą zimną pogardą, jak teraz na tych agentów.

– Mój brat nie będzie z wami rozmawiał bez adwokata – powiedział podniesionym, lecz pewnym głosem. – Możecie to sobie wybić z głowy. I on tego nie lubi, palenia tutaj. Prawnik już jedzie. – Augie wymienił nazwisko z prawniczej rodziny od stu lat królującej w nowoorleańskiej palestrze. Na agentach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nadal palili.

Główny agent wyciągnął pismo prokuratora generalnego Daniela Brendana Shei i głośno je odczytał. Prokurator zarzucił Tramontiemu, że jest obywatelem Kolumbii, nie zaś Włoch, jak napisał, starając się o wizę. Świadczył o tym fakt, że podczas wielokrotnych podróży na Kubę posługiwał się kolumbijskim paszportem. Prokurator zwrócił również uwagę, że Tramonti nie posiadał ani włoskiej metryki urodzenia (z pewnością nie było to niczym szczególnym wśród osób urodzonych na wsi na Sycylii w XIX w.), ani włoskiego paszportu (stracił ważność za rządów znenawidzonego Mussoliniego; Augie wykorzystał swoje znajomości w Kolumbii, żeby załatwić bratu paszport). Prokurator zarzucił mu, że „systematycznie dawał łapówki i stosował groźby karalne”, żeby przedłużyć ważność amerykańskiej wizy. „Z uwagi na regularne i systematyczne fałszerstwa” – oświadczył – obowiązkiem INS jest deportować Tramontiego do „ojczystej Kolumbii”. Carlo Tramonti w życiu nie był w tym kraju,

o czym oczywiście wszyscy wiedzieli. Koszt transportu miał pokryć deportowany. Decyzją prokuratora jego dom miał stanowić zastaw gwarantujący uregulowanie należności.

Dowódca agentów skinął głową. Jego ludzie zaczęli wyciągać szuflady biurka i kartoteki. Wyrzucali ich zawartość na środek podłogi. Carlo Tramonti poczerwieniał, ale nic nie powiedział.

– Musicie mieć nakaz! – krzyknął Augie.

– Jedyne, czego potrzebujemy, to żebyś się łaskawie zamknął – odrzekł agent. – Nie potrzebujemy nakazu w przypadku rewizji u obcokrajowca przebywającego nielegalnie w Stanach Zjednoczonych. W sprawach bezpieczeństwa narodowego, takich jak ta, mamy obowiązek kierować się wyłącznie koniecznością ochrony Amerykanów.

Carlo Tramonti zamknął oczy i lekko się zakołysał.

– To my jesteśmy Amerykanami! – wykrzyknął Augie. – Wy jesteście tylko pierdolonymi agentami federalnymi.

Carlo Tramonti jęknął, pochylił się i zwymiotował.

Z powodu łańcucha nie mógł rozstawić szeroko nóg, dlatego rzygowiny – czerwone wino, kawa, papryka i jajka – spłynęły mu na buty i do mankietów spodni.

– Znalazłem – obwieścił jeden z agentów. Paszport był w górnej szufladzie biurka – najbardziej oczywistym miejscu, ale agenci zajrzeli tam na samym końcu. Inny agent wybiegł na zewnątrz i zwymiotował w krzakach.

Główny agent wziął od kolegi kolumbijski paszport, obszedł kałużę wymiocin, wskazał na drzwi i powiedział coś po hiszpańsku.

Tramonti pochylił głowę na bok.

– Mój brat – powiedział Augie – nie zawsze wszystko dobrze słyszy.

Agent powtórzył.

– Twój brat najwyraźniej również nie zna hiszpańskiego – dodał.

– Jakiego hiszpańskiego? – zdziwił się Augie.

– Przeczytałem tę plakietkę na drzwiach – wyjaśnił agent. – Trzy osoby mogą dochować sekretu, jeśli dwie są martwe. Coś takiego

mogłyby wywiesić moje dzieci na swoim domku na drzewie obok znaku „Dziewczynom wstęp wzbroniony”.

Carlo wyprostował się, ale nic nie odpowiedział. Rzucił bratu ostre spojrzenie. Augie należał do ludzi, którym sprawiłoby przyjemność upokorzenie takiego zera, takiego federalnego gnojka. Na razie jednak trzymał język za zębami.

– Och, rozumiem – powiedział agent. – To coś w rodzaju manifestu Kuby Rozpruwacza.

– Dla pańskiej informacji – nie wytrzymał Augie – facetem, który to powiedział, był nie kto inny, jak pan Benjamin Franklin. Kojarzy pan? Nie zdziwiłbym się, gdyby pan o nim nigdy nie słyszał, ponieważ to on był jedną z osób, które podpisały Konstytucję Niepodległości. Pozostając z całym szacunkiem, muszę stwierdzić, że ten dokument jest panom zupełnie obcy, nieprawdaż?

– Benjamin Franklin podpisał Deklarację Niepodległości, nie zaś konstytucję.

Augie Tramonti pokręcił głową na znak sprzeciwu, Carlo – żeby wyrazić dezaprobatę.

– Podpisał jedno i drugie – uparł się Augie. – Gwarancje wolności, wiecie? Powinniście się tego nauczyć w szkole podstawowej. Jak to się mówi?... Szokuje, ale nie dziwi.

– Dość tego. – Carlo wstał z fotela. Lekko się zachwiał. Jeden z agentów dmuchnął mu w twarz papierosowym dymem. Carlo przełknął ślinę, ale jakoś to zniósł.

Agenci odepchnęli Augiego na bok i wyprowadzili Carla na zewnątrz, do jednego z czarnych samochodów.

– To uprowadzenie – stwierdził Carlo Tramonti. To było jawne oskarżenie, wypowiedziane spokojnym, pewnym głosem.

Agenci nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

– Jesteśmy w Ameryce – syknął Carlo.

– Zgadza się – potwierdził główny agent, zatrzasnąwszy drzwi motelu.

– W Stanach Zjednoczonych nie wolno tak traktować ludzi!

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).